

AGATA BUZEK

(ur. 1976 r. w Pyskowicach)
dzieciństwo i młodość
spędziła w Gliwicach.
W 1999 r. ukończyła
warszawską Akademię
Teatralną. Aktorka Teatru
Ateneum w Warszawie
(1999–2003).
Współpracowała
z warszawskimi teatrami:
Powszechnym, Montownią,
Polonią, Przestrzenią
Wymiany Działań „Arteria”,
Studium Teatralnym KOŁO,
Narodowym, Nowym
Teatrem, Rozmaitościami
oraz paryskim
Odeonem. Wystąpiła
w przedstawieniach
reżyserowanych m.in. przez
Tomasza Zygadłę, Andrzeja
Domalika, Krystynę Jandę,
Igora Gorzkowskiego,
Iwana Wyrupajewa,
Krzysztofa Warlikowskiego.
Zagrała w wielu filmach,
m.in. w „Zemście” Andrzeja
Wajdy, „Straży nocnej”
Petera Greenawaya,
„Valerie” Birgit Möller,
„Paparazzo” Stephana
Wagnera, „Niewinnych”
Anne Fontaine,
„11 minutach” Jerzego
Skolimowskiego,
„Córce trenera” Łukasza
Grzegorzka. Za rolę w filmie
„Rewers” Borysa Lankosza
otrzymała wiele nagród,
w tym za najlepszą rolę
kobietą na Festiwalu
Polskich Filmów
Fabularnych w Gdyni.
Niedawno na portalu
Netflix miał premierę film
z jej udziałem
pt. „Erotica 2022”.

Wspiera Polską Akcję
Humanitarną, działa na
rzecz ochrony zwierząt,
angażuje się w akcje
polityczne, m.in. Wolna
Białoruś, działała
w Fundacji Arteria,
która zorganizowała
w Warszawie Tydzień
Wietnamski.

KULTURA

CAŁA TA JASNOŚĆ

AGATA BUZEK, AKTORKA:

W chorobie doświadczałam momentów załamania,
a mimo tego widzę tam światło.
Rodzice nie karmili mnie lękiem, karmili mnie nadzieją.

**KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowiesz
o krawacie?**

AGATA BUZEK: To najpierw przyniosę
skrzynki. W jednej jest krawat, w drugiej – cer-
tyfikaty.

Skrzynki są drewniane, jakby od górali.
Mariusz Benoit poprosił o ich wykonanie
swojego znajomego z Zakopanego.

**Certyfikat pierwszy: „Krawat Jaracza
– nagroda przechodzi na Mariusza
Benoit, zobowiązuje obecnego po-
siadacza do przekazania po 25 latach
młodemu, utalentowanemu aktorowi
polskiemu. Nagroda ta wręczona zostaje
dzisiaj przez Tadeusza Łomnickiego,
pierwszego aktora wyróżnionego tą
nagrodą w roku 1961 przez Stanisła-
wę Perzanowską. Ten aktorski krawat
był noszony przez Stefana Jaracza pod
koniec lat 30. Zobowiązuje się obecnego
posiadacza nagrody do pieczołowitego
przechowywania tej pamiątki oraz do
przekazania jej w dobrym stanie nie-
znanemu jeszcze następcy. Gratuluję Ci,
Mariuszu, jesteś dziś wspaniały, bądź
wielki. Warszawa. Listopad 1984, Teatr
Studio, Malarnia”.**

**I drugi: „Z wielką satysfakcją składam
w ręce Agaty Buzek nagrodę ustanowio-
ną przez Tadeusza Łomnickiego i proszę
o przekazanie jej w stosownym czasie
wskazanej przez siebie osobie z aktor-
skiego grona, Mariusz Benoit, Warszawa
30 październik 2019 r.”.**
Zobacz jeszcze ten krawat.

**Z grubego materiału, w kratkę, dominują
zieleń i granat. Założyłaś go kiedyś?**

Nie. Poza tym ta elegancka szpilka z zieloną
główką go przyszpila, nie chcę tego naruszyć.
Jestem pierwszą kobietą, która dostała ten kra-
wat.

Jakie to uczucie?

Zaszczyt. W Polsce jest trochę aktorów do
wyboru. Próbowałam dopytać pana Mariusza,
dlaczego ja, ale nie umiem streścić, co mi od-
powiedział.

Spróbuj.

Wywnioskowałam, że ma poczucie mojej
bezkompromisowości i że się do tej pory ja-
koś znacząco nie zbłądziłam. I że na pewnym
etapie wystarczającym osiągnięciem jest brak
dużej zawodowej wtopy. Myślę, że docenił też
różne moje pozazawodowe działania.

To, że otrzymałam krawat, jest bardzo miłe
i jednocześnie bardzo zobowiązujące.

**Zobowiązujące do utrzymania poprzecz-
ki?**

Mam w sobie nadodpowiedzialność za
uczucia publiczności, za trudne emocje, które
może wywołać film lub spektakl. Ale właści-
wie powinnam mówić o tym w czasie prze-
szłym, włożyłam sporo pracy w uwolnie-
nie się od zbyt dużej odpowiedzialności. Już
wiem, że to, jak widz zinterpretuje postać,
jest nie do przewidzenia. Dlatego robię rze-
czy w zgodzie ze sobą; z tym, co myślę i jak się
czuję. Resztę trzeba puścić.

W sensie?





→ To jak z planami podczas pandemii: nagle okazało się, że są nic nie warte. W pewien sposób wspaniałe doświadczenie, bo pokazujące, że tylko nam się wydaje, że sprawujemy pełną kontrolę nad swoim życiem, że trzymamy za wszystkie sznurki, że wiemy, gdzie spędzimy przyszłe wakacje.

Niektórzy się wściekli, że nie mogą trzymać tych sznurków.

Ja się nie wściekałam. Co więcej: sporo moich znajomych też czuje wdzięczność za tę trudną, lecz dobrą lekcję przewartościowania niektórych rzeczy, a nawet całego życia.

Hm.

Wiem, że wielu ludzi nie miało szans na refleksję, bo musieli skupić się na przetrwaniu trudnego czasu, rozwiązywaniu kłopotów finansowych, walce z chorobą. Pandemia potrafiła zniszczyć dorobek życiowy; plajtują przedsiębiorcy, którzy zaciągnęli kredyt, zamykane są restauracje i hotele. Nie da się tych wartości łatwo generalizować.

A Ty co przewartościowałaś?

Zrobiłam coś, na co zawsze brakowało mi czasu. Zobacz, tam pod stołem leży hang drum – instrument, o którym marzyłam pewnie ze dwa lata. I gdyby nie pandemia, nie miałabym go tutaj.

Wygląda jak latający spodek.

Nazywam go UFO. Dwa lata temu byłam z moją przyjaciółką Izą Gwizdak w Portugalii na wymianie artystycznej. Mieszkałyśmy w Águeda, niedaleko Porto. I tam spotkałam człowieka, który grał na hang drumie. Trochę mnie uczył: pokazywał, jak wydobywa się dźwięki. Chodzi o to, że trzeba uderzyć bardzo krótko luźną dłoń, bo gdy przytrzyma się ją trochę dłużej, tłumy się wibracje. Posłuchaj...

Koi.

Trzy miesiące zajęło mi szukanie w internecie odpowiedniego egzemplarza – hang drumów jest dużo i o różnych tonacjach. Wykuwa się go ze stali, szlifuje, spawa, nacina, samo strojenie zajmuje nawet tydzień. Uczę się teraz na nim grać z niemieckich filmików na YouTube.

W ogóle w pandemii odkryłam, że ciągnie mnie w stronę dźwięków. Nie chodzi mi o muzykę, tylko w ogóle o dźwięki płynące ze świata. Zobacz, jak wpływa na



Peter Greenaway i Agata Buzek na planie filmu „Straż nocna”, 2006 r.

człowieka hałas na ulicy, a jak śpiew ptaków w lesie, szum fal. Polubiłam gongi, misy, dzwony, dzwonki, dzwoneczki – subtelne i nienachalne. Niosą spokój, wytchnienie, łagodność. Nie zmienia to faktu, że lubię muzykę z lat 80. i 90., do której można potańczyć.

Więc podkreślam z całą mocą: pandemia ofiarowała czas, który pozwolił mi usłyszeć rzeczywistość.

A gdybyś miała wrócić do czasu minionego i przypomnieć sobie moment, w którym zachwyciłaś się aktorstwem?

Zaczęło się od przebieranek. Jestem dziewczynką, mam wór maminych ciuchów i długie włosy robione z rajstop wypchanych innymi rajtami, skarpetami, chustkami, do tego siedem spódnic warstwowo nałożonych, bo chcę wyglądać jak królowa. Więc kostium był pierwszym bodźcem do tego, by zostać aktorką. Choć na co dzień moda mnie nie pasjonuje.

Naprawdę? Przecież byłaś modelką, w Paryżu chodziłaś po wybiegach.

Tyle że ja na tych wybiegach byłam absolutną dyletantką, nic mi nie mówiły nazwiska projektantów. Szłam na przymiarki, zakładałam, co miałam założyć, i pojąć nie mogłam, dlaczego ten, kto to uszył, jest taki sławny i wszyscy wkoło wzdychają z zachwytem. Najbardziej fascynowały mnie pokazy mody jako rodzaj spektaklu: scena, widownia, światła, muzyka. Na wybiegu dawałam sobie zadania aktorskie. Raz byłam królową, kiedy indziej detektywem szukającym pośród publiczności groźnego przestępcy.

Ale po co był ten wybieg? Kiedy podejmowałaś decyzję, byłaś już zawodową aktorką.

Spełniłam marzenie. Pomyślałam: mam 24 lata, za chwilę będzie za późno. A potem przyjaciel powiedział, że jego brat pracuje w tej branży i powinnam spróbować. Pomogły sploty okoliczności.

I co Ci z tego zostało?

Luz w sprawie castingów. Castingi aktorskie odbywają się raczej rzadko, np. raz na dwa miesiące – w związku z tym obarczone są dużym stresem. Najpierw trzeba się do nich starannie przygotować, potem czekać na odpowiedź. Wtedy wracam pamięcią do castingów, w których uczestniczyłam jako modelka. W ciągu dnia miałam ich siedem. Z chwilą ukończenia castingu zapomniałam o nim, nie zastanawiając się nawet, czy chcę go wygrać. Wiedziałam, że muszę teraz wsiąść w metro i mam 40 minut, by zdążyć na następny. Słowem, zajmowałam się tym, co mam teraz do zrobienia, a nie oczekiwaniami.

W pokoju, w którym siedzimy, wczoraj pół dnia nagrywałam casting w języku niemieckim. Pomogły mi przyjaciółki, jedna mówi po niemiecku i partnerowała mi w dialogu, druga filmowała. Wysłałam nagrania i gdyby nie to, że teraz o tym opowiadam, już bym o nim nie pamiętała.

To takie proste?

Nie, to nie proste. Ale dzielenie włosa na czworo nie prowadzi do niczego dobrego. Zastanawianie się, czy powinnam się inaczej uczesać do drugiej sceny albo czy na pewno światło było odpowiednie,

mielenie w głowie czegoś już zrobionego i wysłanego, jedynie zabiera czas i siły.

A to nie jest odpuszczanie?

Czym innym jest płynące z serca pragnienie, by coś się spełniło, a czym innym moment, kiedy przeradza się to w kompulsywną gonitwę myśli, zapiekłość i chęć dojścia do celu po trupach.

Nigdy nie miałaś w sobie tej zapiekłości?

Miałam. Tak wspominam casting do filmu „Troja”. Czekając na werdykt nie mogłam myśleć o niczym innym. A po przegranej długo nie mogłam odpuścić pretensji do siebie i lekkiej niechęci do Diane Kruger, która ostatecznie zagrała Helenę. Aż śmieszne, jak teraz to wspominam. Już się nauczyłam, żeby moje marzenia mnie nie zjadały. To nie znaczy, że marzę, leżąc w domu na kanapie z przekonaniem, że super, jeśli marzenia się same zrealizują, a jeśli nie – trudno. Czasami trzeba pomóc sprawie, powiadomić człowieka, z którym by się chciało pracować, a nie wymagać od niego, że będzie duchem świętym i sam się domyśli.

Ty tak zrobiłaś?

Napisałam list do reżysera castingu „Quo vadis”, bo bardzo chciałam zagrać Ligię... Tu akurat też się nie udało.

Poza tym słucham intuicji, która podpowiada, co mnie uskrzydli i rozwinie, a co umęczy i nie pozwoli zmrużyć oka. Ta granica jest indywidualna, mocno wewnętrzna, można ją wyczuć tylko w sobie, dlatego trudno ją definiować.

Choroba nowotworowa nauczyła Cię strzec tej granicy?

Nie rozbieram tego na czynniki pierwsze, ale mam jeden bardzo konkretny wniosek, który dziś mogę wyciągnąć z tamtego czasu, a minęło przecież trzydzieści lat. Sprowadza się on do nieskończonej ilości nadziei, wiary i miłości ze strony rodziców. W chorobie doświadczałam momentów załamania, a mimo tego widzę tam jasność. Mama i tata nie karmili mnie lękiem, karmili mnie nadzieją. Nigdy nie doświadczyłam zakazów, nakazów, kar. Pewnie dlatego jest mi dziś łatwiej przekabacać się na tę stronę ufności i marzeniową, niż tkwić w ciemnościach, które przecież też dobrze znam.

Jak to robisz?

Czym innym jest płynące z serca pragnienie,

by coś się spełniło,
a czym innym moment,
kiedy przeradza się to
w kompulsywną
gonitwę myśli,
zapiekłość i chęć dojścia
do celu po trupach.

Staram się odciąć od myśli i emocji, stanąć obok, zobaczyć siebie z dystansu, jakbym patrzyła na innego człowieka.

To dopiero sztuka!

Gdyby moja przyjaciółka przegrała casting, na którym bardzo jej zależało, powiedziałabym jej, że zrobiła wszystko, co w jej mocy i jak najlepiej, a skoro nie wygrała, najwyraźniej tak miało być, pojawi się coś innego i lepiej się nie zadręczać.

A sobie co byś powiedziała w tej samej sytuacji?

To samo. Tylko jest to trudniejsze. Dla siebie częściej bywam surowa. Łatwiej uspokoić innych niż siebie.

Ale mam swoje metody. Nie oglądam wiadomości, nie zaglądam do internetu, nie mam konta na Facebooku. Mam konto na Instagramie – i to wystarczy. Zaglądam raz na dwa miesiące i widzę wtedy, ile wszyscy odbyli egzotycznych podróży, co wykwinęli jedli, z kim ważnym się spotkali, czego właśnie się nauczyli, jak zdrowo wyglądają i jakie sobie kupili piękne ciuchy. To nadmuchana do granic absurdu bańka, która nic nie mówi o życiu innych. Rzadko pokazywana jest druga strona medalu, czyli to, że ci ludzie w bańkach mają trudne życie, niezależnie od tego, w jak bajecznie urządzonej domu mieszkają. Gdy ulegnę pokusie przejrzenia Instagrama, trudno potem powstrzymać się od porównywania do innych. Łapię się na myśli: ojej, może powinnam kupić sobie nowe auto albo pojechać na Zanzibar? A potem przychodzi myśl druga: ani auta nie potrzebuję, ani nie chcę nigdzie jechać.

No a te Twoje prawdziwe porażki?

Gdy robię teraz w pamięci ich szybki przegląd, to widzę całkiem sporo.

I?

Polaryzacja pomiędzy sukcesem a porażką to jest prawdziwa porażka. To jedynie dwa różne doświadczenia – łatwiejsze i trudniejsze. A nazywanie tych trudniejszych porażką powoduje, że człowiek ma poczucie bycia gorszym i woli na ich temat milczeć.

Sama nie jestem od tego wolna. Czuję, co się ze mną dzieje na samo wspomnienie wysiłku włożonego w to, by psychicznie i fizycznie wygrzebać się z fatalnego stanu, by nie nałykać się pigułek, zacząć z powrotem jeść i nie bać następnego dnia, tylko czekać na niego z nadzieją. Nie chcę wracać w te rejony.

To wróćmy do rejonów Twojego aktorskiego początku, który nam ciągle umyka.

Jako dziewczynka zachwycalam się Romy Schneider w roli Sissi, która co scena zmieniała suknie.

Czyli ponownie przebieranki.

Dopiero wiele lat później dowiedziałam się o trudnym życiu Romy Schneider. W ogóle jak pomyśleć o tych wspaniałych, pięknych, które osiągnęły sukces, to znakomita większość z nich była prywatnie nieszczęśliwa i fatalnie skończyła.

Tu lista jest długa, a na niej m.in. Marlene Dietrich, Marilyn Monroe, Maria Schneider.

Patrząc na Meg Ryan, myślę o końcu świata. Kiedyś piękna i zdolna, dziś nie do poznania po operacjach plastycznych. Na twarzy ma wypisane zaszczucie, jest chodzącym nieszczęściem ukrytym za teoretycznym sukcesem – pieniędzmi, sławą, mężczyznami.

A oszukiwanie czasu operacjami plastycznymi nie wiąże się z tym, że najatrakcyjniejsze role są dla aktorek młodych?

Ale czy to są te role, o które warto się tak desperacko ścigać? Czy za rolę warto płacić taką cenę? Warto dla niej pozbyć się twarzy?

Myślę jednak, że to bardziej kwestia presji lansowanego ideału piękna, który sprowadza się do tego, by za wszelką cenę zachować młodość. Problem nie dotyczy →

→ tylko aktorek, ale wszystkich kobiet, tyle że nie widać ich w filmach.

No, a Ty?

Dla mnie smutna jest perspektywa coraz większej niechęci do pokazania swojej twarzy i strachu przed tym, czy nadejdzie dzień, w którym będę się jej wstydzić. Pomimo całej mojej pracy, by tak się nie stało, być może będę musiała się z tym zmierzyć. Gdy jestem zmęczona, zdarza mi się dostrzec, że jestem starsza o dwadzieścia lat od swoich mentalnych wyobrażeń.

Boli?

Rozczarowuje. To najbardziej namacalna inkarnacja nieustających zmian. Jedynie, co można robić, to oswajać się z tym i wierzyć, że najbardziej interesujące są twarze starców, na których widać przeżyta prawdę. Przecież w lesie uwagę przykuwa buk, który był dwa razy złamany, ma dziwne konary i odgałęzienia, a nie sto pięćdziesiąt drzewek prościusienkich, młodziesienkich i nie do odróżnienia.

Sama sobie powtarzam, że przemijania nie warto oszukiwać.

Można też spotkać mądre kobiety, które to potwierdzą swoją postawą.

Jestem szczęściarą, bo mam wspinałą mamę. Esencją naszej relacji jest to, że od mamy nieustająco się uczę. Nie w taki sposób, że ona przekazuje wiedzę, prawi morały, sypie złotymi radami, ale przez jej postawę wobec życia. I przez to, jak patrzy na ludzi.

Jak?

Z otwartością i zaciekawieniem. Uprzejmie i bez osądzania. Dla niej właściwie zawsze wszystko jest dobrze. Niedawno odbywały się przymiarki kostiumów u mnie w domu. Mama akurat mnie odwiedziła, siedziała w fotelu, z nami, zainteresowana. Potem ktoś z ekipy powiedział, że biła od niej jasność. Właśnie – jasność, to słowo najtrafniej oddaje moją mamę.

Jednocześnie przy całej swojej wrażliwości mama jest osobą niewiarygodnie stabilną. I nawet jak zrywa się potężna wichura, mama stoi niczym potężne drzewo, którym wichura szarpie, może połamać mu małe gałązki, ale go nie przewróci.

Mama jest przykładem człowieka, z którym się po prostu łatwo i dobrze przebywa. A wcale nie jesteśmy iden-

tyczne. Mama jest bardziej poukładana, zostawia po sobie porządek, a moja zdolność do robienia bałaganu jest niebywała. Jednak te różnice nie przeszkadzają nam razem funkcjonować. Mama po prostu nie jest małostkowa.

To teraz robię trzecie podejście, by dowiedzieć się o Twoich aktorskich początkach.

Zaczął się od estrady. Rodzice opowiadali, że ktoś ich wtedy zapytał, ile mam lat, odpowiedzieli, że trzy i dwie trzecie, a ja to sobie zapamiętałam. W Sianożętach, gdzie byliśmy na wakacjach, odbywał się konkurs recytatorski dla dzieci. Wzięłam w nim udział, wyszłam na scenę i zrobiłam furorę, gdyż na pytanie: „Dziewczynko, ile ty masz lat?”, odpowiedziałam, że trzy i dwie trzecie. A potem zaśpiewałam: „Za górami jest Babilon”. Wkrótce nauczyłam się też na pamięć „Słonia Trąbalskiego”. Gdy rodzice zabierali mnie do kawiarni na ciastko, wychodziłam na środek, kłaniałam się, recytowałam „Słonia Trąbalskiego” i dopiero potem siadałam do stolika.

„Słoń Trąbalski” ma siedem zwrotek!

Teraz wyobraź sobie tych biednych ludzi, którzy chcieli w spokoju zjeść ciastko.

A później?

A później miałam pięć lat i oznajmiałam rodzicom, że zostanę aktorką. I bardzo konsekwentnie, aż do zdania egzaminów do szkoły aktorskiej, tego się trzymałam. Brałam udział we wszelkich konkursach: recytatorskich i piosenki. W moim liceum w Gliwicach odbywał się przegląd Małych Form Teatralnych – zawsze w nim uczestniczyłam. Później poszłam do studium aktorskiego Doroty Pomykały i jednocześnie w domu przygotowywałam przedstawienia, często zbierając przy okazji pieniądze na rzecz zwierząt. Granie było integralną częścią mojego życia, wynikającą z głębokiej potrzeby wyrażania emocji, przemyśleń, wzruszania i zabawiania ludzi.

Ale na krakowską PWST się nie dostałaś.

Zdawałam naraz do wszystkich czterech szkół aktorskich w Polsce. Pierwszego etapu nie przeszłam tylko w Krakowie. Udało się w trzech pozostałych: w Łodzi, we Wrocławiu i w Warszawie. I musiałam zdecydować, gdzie jęść na

etap drugi, bo odbywał się wszędzie tego samego dnia. Wybrałam Warszawę. I tu nastąpił szereg potyczek.

Zabezpieczając się przed tym, że mogę nie zdać, złożyłam jeszcze dokumenty na germanistykę w Krakowie. I napisałam podanie o przesunięcie egzaminów – istniała taka możliwość dla tych, którzy jednocześnie zdawali na uczelnię artystyczną. W dniu ogłoszenia wyników na Akademii Teatralnej zadzwoniłam do Warszawy z budki telefonicznej nieopodal Uniwersytetu Jagiellońskiego, by dowiedzieć, czy zostałam przyjęta. Pani z sekretariatu poszła sprawdzić i po chwili powiedziała: „Bardzo mi przykro, dziecko, ale się nie dostałaś”. Z tej samej budki zadzwoniłam do mamy i powiedziałam, że nie przyjęli mnie do Akademii i że w związku z tym idę zdawać na UJ. Jak powiedziałam, tak zrobiłam, ale w sekretariacie germanistyki usłyszałam: „Rzeczywiście, dzisiaj są dodatkowe egzaminy, problem w tym, że pani papiery przyszły o dzień za późno i my już nie mogliśmy wpisać pani nazwiska na listę. Nie może pani podejść do egzaminu”. W drodze z UJ do mieszkania na Karłowickiej – bo tam zatrzymałam się u cioci – zdążyłam przemyśleć całe swoje życie.

Piechotą to góra dziesięć minut.

Ja w tym krótkim czasie wymyśliłam, że pójdę do studium taneczno-wokalnego w Operetce Śląskiej w Gliwicach, że wykorzystam ten rok twórczo, będę jeszcze robić to i to, spróbuję zdawać w przyszłym roku i przygotuję się lepiej do egzaminów. Tymczasem moja mama zadzwoniła do babci, a babcia zadzwoniła do rektora Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, która mieści się naprzeciwko Akademii Teatralnej, i poprosiła, żeby wysłał kogoś, kto sprawdzi, czy jej wnuczka rzeczywiście się nie dostała, bo to niemożliwe. Prośbę spełniono i okazało się, że się jednak dostałam. Rektor zadzwonił do babci do Katowic, babcia zadzwoniła do mamy do Gliwic, mama z Gliwic zadzwoniła do cioci do Krakowa. Wchodziłam po drewnianych schodach starej kamienicy, a ciocia krzyknęła z góry: „Dzwoniła twoja mama, to jest pomyłka, jednak się dostałaś do tej Akademii Teatralnej”. Wtedy dopiero puściły mi wszystkie nerwy, usiadłam na schodach i się rozbeczałam – nie wiadomo, czy ze szczęścia, czy ze stresu, w każdym razie z natłoku emocji.

Z perspektywy dwudziestu lat w aktorstwie co jest Twoim największym spełnieniem zawodowym?

Rola w „Rewersie” Borysa Lankosza.

Bo deszcz nagród?

W świecie sukcesu, kariery i produktywności nie da się uciec od nagród. Trudno też udawać, że nie są ważne. Dają poczucie docenienia i informację zwrotną, że trud i praca się opłaciły, że się jest dobrym w czymś, co się robi. Jasne, równie istotne jest usłyszeć od zwykłego widza, że jest przejęty filmem, że znalazł w nim coś ważnego dla siebie.

Ale „Rewers” był wielkim przeżyciem z zupełnie innych powodów. Przed spotkaniem z Borysem Lankoszem marzyłam, żeby pracować z braćmi Coen. Gdy dostałam scenariusz „Rewersu”, stało się jasne, że już nie muszę tego robić. W „Rewersie” jest coenowski rodzaj widzenia świata: i groteska, i realizm, i komedia, i powaga. A w miarę tworzenia filmu było tylko coraz lepiej, wszystko było spełnieniem marzeń.

A rola Titii Uylenburgh, siostry Saskii, żony Rembrandta, w „Straży nocnej” Petera Greenawaya?

Ważny dla mnie reżyser! Kiedy byłam na planie, nie mogłam uwierzyć, że ta sama Agata Buzek pod koniec lat 90., jeszcze jako licealistka, uczestniczyła w przeglądzie filmów Greenawaya w Gliwicach. Byłam nimi oszołomiona: malarskością, wizyjnością, sposobem filmowania i prowadzenia aktorów. Wcześniej czegoś takiego nie widziałam – kino Greenawaya otworzyło mi szerzej oczy na myślenie o sztuce.

Miałam wtedy kilkanaście lat, marzyłam o tym, by zostać aktorką, ale do głowy mi nie przyszło, że kiedyś zagram u Greenawaya – to było zbyt abstrakcyjne. A kilkanaście lat później grałam Titię w „Straży nocnej”. Absolutne spełnienie.

Życiowe spełnienie?

Chwilowe spełnienie zawodowe. A o życiowe – zapytaj mnie, jak będę na łożu śmierci.

© Rozmawiata

KATARZYNA KUBISIOWSKA